



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kanterach pism peryodycznych, po cenie:
rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartal. rsr. 1 kop. 60.
miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedmieście Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi
z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W W. Ks. Poznańskim: u M. Leitgebnera i Spół., kwartalnie tal. gr. 1.
sgr. 20.

TEATR W TUSCULUM.

Na gór albańskich łagodnym zakręcie,
Na dwóch złączonych pagórków grzebieniu,
W draperii dębów włoskich jest wycięcie,
Gdzie gruzy drzemią w pustce i milczeniu.
Szeroko tutaj rozsiadły się kołem,
Pokryte wieków pleśnią i popiołem.

Jak tylko ścieśzka z lasu się wynurza,
Rododendrony witają wędrowca,
I sam laur biegnie prowadzić przez wzgórza
Do kamiennego przeszłości grobowca,
I pokazuje ów laur wiecznie młody,
Gdzie cyceńskie kwitły wprzód ogrody.

Lecz nie dobiega do ruin—by szumem
Nie przerwać wielkiej ciszy i powagi,
I pozostaje z innych krzewów tłumem,
A gruzy leżą na wyżynie nagiej,
I patrzą w błękit... tylko wśród kamieni
Bluszczyć się przeciska jak wąż i zieleni.

Dawnych pałaców olbrzymie szkielety
Wryły się w ziemię i zielskiem zarosły;
Gdzie niegdzie sterczą poszarpane grzbiety,
Gdzie niegdzie leży kolumny wyniosłej
Strzaskany odłam—a na wyższym pięttrze
Widać odarte i pospępnę wnętrze.

Po nagich ścianach z różnobarwnej lawy
Sączy się wilgoć i kroplami ścieka,
A te łyzy żywią w szczelinach mech rdzawy,

Co jak krwi plamy wygląda zdaleka;
Lecz nie dziwnego że płacze ruina,
Jeśli swą dawną wielkość przypomina.

Białych okruchów marmurowych mnóstwo
Wala się wszędzie pod nogą przechodnia;
Może nie jeden Cezar, albo bóstwo,
Nie jedna wielkość i nie jedna zbrodnia,
Ale czas zgładził całe pokolenia
Bogów i ludzi, z gliny czy z kamienia.

Zdała od ruin natłoku—samotnie,
Tuż u podnóża skał wiszącej ściany,
Rzymski teatrzyk wdzięczy się zalotnie
W kotlinie liściem akantów ubranej.
Po stopniach spływa półkołem ku scenie,
Gdzie dwie kolumny zdobią podwyższenie.

Czas uszanował to klasyczne dzieło,
Tylko ciemniejsze narzucił mu tony—
W liniach się całe mistrzostwo zamknęło,
Co dało kształtom wdzięk niewysłowny,
I jest podobnym ten teatrzyk szary,
Do białej w ziemię marmurowej czary.

Sklepieniem są mu niebieskie błękity,
Co ściany światła obmywają strugą,
I tak błękitną kopułą nakryty
Na widzów czeka—ci śpią nadto długo!
I próżno scena wdzięcznie się przymila,
Myśląc o jakiej tragedii Eschyla.

Wszystko gotowe! krajobraz gotowy!
Widać kolumny portyku... za niemi
Lasy i wzgórza, strumienie, parowy,
I wielki obszar cudnej włoskiej ziemi.

Wszystko tak piękne i pełne kolorów,
Brak tylko dotąd widzów i aktorów.

Widzę ja byłem; zstąpiłem z pagórka,
Siadłem na stopniu, i słucham.... i patrzę....
Oprócz mnie jedna przybyła jaszczurka,
I drugie miejsce zajęła w teatrze,
I głucha cisza wypełniła mury,
Oczekiwaniem na tragedii chóry.

Ale chór dawno nad ruiną przewiał,
I w kraj przeszłości uleciał zamierzchły,
Ustały skargi—krwawy miecz zardzewiał—
Wyniosłe cienie bohaterów pierzchły,
I zeszyły z sceny pokolenia całe,
Unosząc z sobą rozpacz, wstyd, lub chwałę.

Dziś nie już śpiącej fali nie poruszy,
I grobów ciszy nie przerwie pokutnej,
Scena już pusta—i tylko w mej duszy
Na nowo dramat rozgrywał się smutny,
Po stosach ofiar zdążając przez wieki
Ku jakiejś gwiazdzie jasnej a dalekiej....

El-y.

Tusculum 1872 r.

KOBIETA JAKO TOWARZYSZKA MĘŻCZYZNY.

(Dokończenie).

Jakkolwiek autor amerykański pojmuje w zbyt
dosłownem znaczeniu życiowe towarzyszenie sobie
kobiety i mężczyzny, jakkolwiek miesza niekiedy li-

terę z duchem, słusznem jest surowe jego upomnienie mężczyzny o częstsze niż dotąd przebywanie z kobietą; słuszną nagana obyczajów, które rozdział między tem dwojgiem powodują. Są niewątpliwie węzły, które się jedynie przez częste obcowanie z sobą tworzą, są w tem obcowaniu siły, które owe węzły utrzymują i najwyższemu obowiązkom poparcia dodają. Aby miłość mogła się uduchowić i trwać, aby przyjaźń mogła się zawrzeć i nie słabnąć, aby umysły weszły z sobą w niepowierzehowny stosunek a prawdziwe ja nasze ujawniły się sobie, potrzeba na to przebywania z sobą częstego, stałego, wytrwale utrzymywanego w codziennej życia kolei. Poznajemy się wzajem i najświętszym zobowiązania, śluby łączące wieczyście nie zawierają się w nieswiadomości i złudzeniu; urabiamy się do siebie i w organicznej pracy ducha, w tworzeniu się moralnej naszej istoty wspomagamy się wzajem przez oddziaływanie obustronne. Dowodzić prawdy tego założenia prawie nie ma potrzeby, bo każdy nieco choć myślący umysł prawdę tę uznaje. Jest powszechnie przyjętą i do ogólników etycznych należąca rzeczą, że towarzyski wpływ kobiety wykończa ostatecznie edukację mężczyzny, ogląda go, miększy w surowości zbyt szorstkiej, jest zatem pierwiastkiem cywilizacyjnym, który uobyczajnia i łagodzi w popędach dzikich i ostrych. Ze odwrotnie wpływ mężczyzny hartuje kobietę, że umysłowe życie w niej budzi, a poglądy rozszerza i po za ciasne koło powszedniego życia wyprowadza, jest prawdą nie mniejszą, choć mniej uznawaną, a przecież uznania ogólnego wymagającą. Kobieta i mężczyzna w przebywaniu z sobą stają się względem siebie jak dwa dyamenty, szlifujące się wzajem, aby oba rozblęsnęły całą pięknością blasków swoich, pięknoscią wrodzoną, którą ujawnić tylko trzeba przez naturalne zestawienie tego, co jest stworzonym dla siebie. Autor amerykański obszernie dowodzi, że istnieje w pierśiach ludzkich instynkt naturalnego w tym kierunku pociągu, tylko konwencyonalizm towarzyski zwichnął go i wypaczył. Mężczyzna nie lęka się właściwie towarzystwa kobiety, ale stracha się ciasnoty form salonowych, lęka się częstości umysłowej, którą tam spotyka, straszy go małość inteligencji kobiecej i przesadny sentymentalizm, a często dewocya, której z religijnością i jej szlachetnem uczuciem łączyć nie należy. Obawia się jednym słowem nudów i krepującego przemusu, jaki istnieć musi w towarzystwie niedobranem.

Kobieta jest dziś niedobraną towarzyszką mężczyzny, wiemy już przez jakie wady z jej strony; autor z kolei przechodzi do wad męskich i najpierw zarzuca mężczyźnie hipokryzję względem kobiety. Oddzielił ją od większej części zabaw i zajęć swoich, aby był wśród ich używania swobodnie grubym, swobodnie materyalnym i niskim, a ją nazwał aniołem, i zamknął w kole ciasnym czci, którą autor nazywa nienaturalną i kłamaną dla tego, że się opiera ze strony mężczyzny na cynicznym do win swoich przyznaniu i trwaniu w nich stałem. Kobieta jest za szlachetną istotą, aby znała całość życia naszego, utrzymują hyberboliczni kobiety czciciele. Więc zróbmy to życie wyższem, czystsze, szlachetniejszym o tyle, aby kobieta podzielała je, nie poniżyła się w niem—odpowiada im autor i uważa to za jedynie prawdziwy grunt moralności i uszlachetniających obyczajów cywilizowanego społeczeństwa. Wtedy tylko moralność nasza będzie prawdą ducha naszego—pisze z zapałem pocziwim—kiedy to co zmazuje i wstydi kobietę, będzie zmazał i wstydem dla mężczyzny, kiedy opinia publiczna podniesie się o tyle w szlachetnych na przeznaczenie człowieka poglądach, aby nikt nie dostawał niskiego przywileju na poniżające ustępstwa dla brutalnych chęci i nieucywilizowanych jeszcze instynktów.

To też koniecznem rzeczy następstwem to być musi, że społeczność, w której kobieta wyrobi sobie stanowisko najcisłej towarzyski mężczyzny, jest społecznością najwięcej cywilizowaną i najbliższą czystej moralności, jest społecznością na drodze najlepszego postępu.

Nikt nie może zaprzeczyć temu zdaniu autora, kto tylko nie przeczył poprzednim, a niezaprzeczalnym jego twierdzeniom. Przecież summa ich ostatnią, ostatnim wynikiem całego szeregu rozumowań przytoczonych jest to, że autor widzi w kobiecie jakiś idealny ludzkości pierwiastek, przez który i dla którego mężczyzna musi się uduchowić i podnosić

nad pożądania grube, nad nieuszlachetnione jeszcze porywy namiętności surowych. Istnieje więc pewna anielskość kobiety, to jest jakaś wrodzona delikatność uczuć i skłonności, jakaś wrodzona poezya i potrzeba ideału, poszukiwanie piękna w dobrem i dobru w pięknie, które kobiecie rozwiniętej normalnie według natury swojej nie daje smakować w grubszym realizmie mężczyzny i odciąga go od używania takich na tor upodobań delikatniejszych. Czy więc autor naumyślił się dobrze nad środkami, które proponuje społeczeństwu dla osiągnięcia owego pożądanego skutku: większego zbliżenia mężczyzny i kobiety w towarzyskim obogażeniu? Środkiem tym jest, jak sądzi, aby mężczyzna nie oddzielał się od kobiety, przetrworzył swoje zabawy po domowym i wprowadził do nich kobietę swej rodziny, żonę i córkę i jako wzór podaje ogródkowe życie Niemców, ich sale zabaw, gdzie każdy przychodzi sam albo ze swojemi i używa w kole rodzinnem przyjemności życia publicznego, gdzie się schodzi tłum różnorodny, gdzie się mówi o wszystkim, gdzie panuje swoboda przebywania jak u siebie, siedzenia przy własnym stole, złączona z przyjemnością wrażeń rozmaitych, widzenia i słyszenia ludzi różnych.

Wprowadzenie kobiety w życie klubowe, jest zdaniem autora jedynem lekarstwem, tak na przeistoczenie tego życia, usunięcia z niego używania niskich i grubych, których nie zniesie kobieta, jak na zaradzenie nieszczęsnemu rozdziałowi, który kobietę ową teraz osamotnia, odosobnia od mężczyzny, a przez to wpływ jej ogranicza, a zarazem ją samą upośledza i pewnych stron jej istoty nie rozwija należycie. Czy przeciw autor pomyślał nad tem dobrze, jak natura kobiety wogóle zniosłaby tę przemianę, jakby w tem położeniu życia stanęła, nie mówię już gospodyni domu, ale matka rodziny? Coby się stało z dzieckiem najpierw małym, potem uczącym się pod strażą matki u domowego ogniska?

Czy to wszystko ma pociągnąć za kobietą do klubu i ogródka, czy raczej przepadnie wychowanie macyrzyńskie, edukacja matki przedszkolna, wpływ matki postępującej wespół ze szkołą, aby ją dopełniać lub równoważyć w potrzebie? Upomnienie, jakie Zachariasiewicz dał powieściopisarzom w studium swoim nad powieścią współczesną, odnieść można i do moralistów, osobliwie do moralistów nowatorów: kreśląc popiersie jedynie, trzeba niemniej pamiętać i ważyć, jaką by była postać cała, gdyby odpowiednio przedłużyć rysy, zatrzymujące się na połowie? Kto wytyka ludzkości drogę postępu, powinien wziąć w rachunek całość przeznaczenia ludzkiego i pamiętać o niej przy zarysie jednej strony szczególnej.

Ale pomijając nawet to pierwszorzędnej ważności stanowisko kobiety w rodzinie, stanowisko matki i naczelniczki domu, trzeba by się zastanowić jeszcze, czy te właśnie strony istoty kobiecej, które mają być w przetwarzaniu obyczajów męskich wpływem udelikatniającym uczucia, technieniem poezyi i idealności, zniosły by szczęśliwie ów przewrót, można powiedzieć radykalny w całym nastroju życia kobiety? Czy ta towarzyska mężczyzny w klubie i w ogródku, ta kobieta nowo; urobiona w obyczaju nowym do życia pozadomowego, byłaby już kobietą dawną, zdolną oddziaływać na mężczyznę przez te przymioty delikatne, które on w hipokryzji swojej, jak chce autor, anielskością kobiety nazywa i jako takim cześć oddaje?

Moje przekonania przeczą temu. Wszystko co jest w naturze kobiety tych przymiotów cechą, wszystko co jest kobiecością i kobiecości owej wdziękiem, urokiem i powabem idealnym zaniknąć by koniecznie musiało, tak jak znika już wszędzie, gdzie kobieta w smutnej za straconym swym wpływem pogoni, usiłuje go odzyskać w nienaturalny sposób i na gruncie niewłaściwym dla siebie.

Prawdą jest, że dzisiejsze osamotnienie kobiety, dzisiejsze odbiegnięcie od niej mężczyzny i opuszczenie dla klubu, kawiarni i ogródka jest jedną z najsmutniejszych cech naszego wieku, że myśliciel i moralista może się tego stanu rzeczy przerazić i szukać mu pragnie środków zaradczych, ale środek podany przez amerykańskiego autora, środek którego w Niemczech głównie chwytają się kobiety miejskie, jest lekarstwem gorszym od choroby. Mężczyzna, jak Amerykanin trafnie pisze, nie lęka się kobiety, ale jej wad, jej zastoju umysłowego, który się spotęgował względnie przez jego postępek. Niech więc ko-

bieta zamiast go tam ścigać, gdzie on przed nią ucieka, podniesie się i urobi na szlachetniejszą życia męskiego towarzyszkę i nie schodząc ze swego naturalnego stanowiska, mężczyznę raczej ku sobie przyciągnie, a moralność, cywilizacya i cały w ogóle postęp ludzkości na tem zyska, a nie opuszczonem, zwichniętem, wyłamanem nie zostanie.

Nie kobieta więc za mężczyznę pójść do klubu, ale mężczyzna za kobietą do domu wrócić powinien, a wzmoczone pod jej przewodnictwem życie rodzinne, uszlachetnione, podnioslejsze w swoim rozwoju życie towarzyskie, oto jedyny środek po temu. Gdzie się tak stanie, tam tylko rozwój cywilizacyi może być najwyższym, a postęp ku dobru najpewniejszym.

Amerykanin daje za zakończenie broszury swojej piękną bajkę grecką, której sens moralny nic, jak sądzę, z przekonaniem memi się nie spiera, a we wszystkim raczej do zgody się z niemi układa. Powtórzę ją w całości, bo w każdym razie jest to jak zwrotka pieśni pięknej i rozumnej.

„Lyrena była piękna, a Protyrus moczny. Pochodzili z rodu bogów, a wychowani na wyspie Paphos, spotkali się raz w świątyni Minerwy, gdy młodość ich rozkwitała, a rozgłos ich zalet rozchodził się już do koła. — Wiem, że to ty jesteś Lyrena—rzekł młodzieniec—bo cudowny wdzięk twój powiedział mi o tem.

— A ty jesteś Protyrus—odparła dziewczica—odgadłam to, gdyż przytomność twoja wywiera na mnie wpływ uczucia boskiego.

— Jesteśmy więc zrodzeni dla siebie — zawołał młodzian. — Daj mi rękę Lyreno i pójdźmy razem wędrować po świecie, starząc się wzajem i poszukując woli Jowisza.

— Tak—rzekła Lyrena—aleśmy jeszcze Protyrusie, nie wtajemniczeni oboje w święte piękno poezyi, wymowy i sztuki. Nie możemy się połączyć, aż się to stanie, abyśmy wiedzieli na pewne, że to co kochamy jest dobrem i w pięknie swem ukochania godnem.

Rada Lyreny została przyjętą i rozeszli się, nie powiedziawszy sobie gdzie i kiedy spotać się mają, wierząc jednak, że jeżeli ich miłość wytrwa i cnoty równe sobie będą, przychylne bogi złączą ich w chwili stosownej do tego. Wędrowali przez lata długie, kierowali kroki swoje tam, gdzie można było zbierać żniwo mądrości, a widzieć piękność; znosili trudy i znoje dla miłości prawdy i dobra, a przychylne im bóstwo nie odbierało im nigdy kwiatu młodości.

Mężowie wdychali za uśmiechem Lyreny, kobiety uwielbiały męzki kształt Protyrusa, filozofowie chwalili ich, a nawet cyniki zapominali sztydzić. Choć drogi ich były oddzielne, wciąż słyszeli o sobie i czuli ciągle przytomność wzajemną. Lyrena mogła nie raz znaleźć małżonka, ale nie chciała ukochać nikogo; dziewczę szczególnego wdzięku gotowe było iść za Protyrusem, aż musiał zawracać je z drogi swojej słowem słodkim, ale tak stanowczem, że nie trzeba było powtarzać go raz drugi.

Aż nakoniec przybyli oboje do Aten, a sława ich piękności, cnoty i wymowy już rozeszała się po Grecyi całej. To też najszlachetniejsi obywatele miasta uwieńczyli ich wieńcem kwiatów i zieleni i zaprosili, aby w dniu jednym i tym samym przemawiali oboje do ludu ateńskiego pod chłodnym cieciami Partenonu. Mówili zatem oboje; jedno po drugim odzywali się w obec tłumy wielkiego. Lyrena śpiewała potem pieśń, a Protyrus grał na lutni złotostrunnej, i lud ateński nie wiedział które z nich nazwać piękniejszym lub mądrzejszym? Mężowie uwielbili Lyrenę, a niewiasty nazwały Protyrusa symnem Appola, aż wykrzyknęto nagle, że bogowie przeznaczyli ich dla siebie, tworząc zarówno doskonałymi.

Wtedy Protyrus rzekł: — Słuchaj Lyreno! oto głos śmiertelny objawia nam wolę bogów... i ramiona ich wyciągnęły się ku sobie. Objęli się w uścisk, któremu bogowie przyklasnęli z wysoka, bo w tej chwili Jowisz rzucił im strzałę ognistą i grom stopił dwoje w jedno. Dwie postacie splecione z sobą stanęły przed oczyma ludu ateńskiego, a nikt nie wiedział która z nich jest on, a która ona. Lyrena wzięła na wieczność się Protyrusa, a Protyrus piękność Lyreny.“

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPOŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

V.

Na gruncie tureckim.

Zatrzymał się statek w miejscach kilku, w Rahowej, Nikopolis, Szistowie, zanim pszybył do Ruszczuka, punktu, w którym kończyła się wodna znajomych naszych podróży.

— Jesteśmy tedy u kresu podróży europejskiej — zwiastowała doktorowa Anglikowi. Przybywamy do stolicy Bulgarii. Proszę teraz skupić w sobie całą odwagę i całą determinację turysty angielskiego i nie zrobić wstydu reputacji, jaką oni posiadają.

— Niech pani o mnie spokojną będzie — była odpowiedź Anglika. Jako syn Albionu prawdziwy, zwiedziłem zakątki wszystkie, wynotowane w Przewodnikach na wyłączny nasz użytek układanych.

Zdarzało się mi więc i piechotą wojażować.

— Myślisz więc pan, że piechotą ma być najgorzej.

— Przynajmniej, jestto sposób najpierwotniejszy, jakim zapewne troglodyci wojażowali.

— Zobaczymy, jak się podoba sposób udoskonalony... nasz.

Wyraz ostatni wymówiła z przyciskiem.

— Hm — mruknął Anglik.

Statek uwiązano u przystani i wynosić poczęto pakunki podróżnych.

Wysiadł pasza w perłowym futerku z całym dworem swoim; wysiadł dyplomata pyszny, którego mister Wayton „excellensissime“ tytułował; wysiadło podróżnych dużo; hamaty (tragary) cisnęli się na pokładzie, ładując na barki walizy i kufry; doktor zawołał hamatów kilku.

— Na co ci oni! — odezwał się Stojan. Daj mi węzełki twoje, ja nie mam jak tylko zawiniątko jedno.

— Dziękuję ci. Gdyby to tylko węzełki były, to i sam bym je udźwignął. Ale mam ja tu ze sobą zapasy różne.

I ukazał palcem na pak sporych kilka.

— A toż co, tak dużo!

— Apteka, narzędzia, naczynia, instrumenta, książki.

— Bre...bre — odezwał się Stojan przeciągle. Coż się tego nabiera! Bodaj, czy to jedna *haraba* zabierze.

— Weźmiemy więcej jak jedną.

Stojan się w głowę podrapał z miną niechętną i rzekł:

— *Pariczek* pójdzie nie mało na samo przeniesienie tego do mehany, a coż dopiero, na przeniesienie do Zarnicy!

— Cóż robić!

Stojan, myśląc snadź, że go się szwagier o radę pyta, odpowiedział:

— Sprzedać hurtem, jeżeli się kupiec trafi, a nie, to otworzyć w Ruszczuku *dugianę* i zbyć to powoli.

Ruszczuk *czarszija gulema* (miasto wielkie), tu wszystkiego dostać i wszystko sprzedać można.

Rada ta, acz zdrowa, nie trafiła jednak do przekonania doktora. Paki hamaty zabrali i na komorę odnieśli, gdzie przystąpili do nich urzędnicy celni, z którymi rozprawić się trzeba było.

Celnicy ustaloną mają reputację od dawna, od czasów Chrystusa jeszcze. Tureccy celnicy, reputacji tej kłamu nie zadają — i gdyby doktor, przy pomocy Stojana, nie był pilnował, to albo by się naraził na utratę połowy przywiezionych przedmiotów, albo też na opłacenie od takowych cła w wysokości niepomiarowanej. Robiono kwestye o wszystko, zaczynając od lekarstw...

— Czyje to? — zapytał przełożony komory.
— Moje.
— Jakim prawem?
— Zapłaciłem i przez to na własność je nabyłem.
— Pytam się nie o to. Na co ci tego tyle?
— Mam zamiar chorych leczyć, jestem bowiem *hekim-baszi*.

Hekim-baszi...e...ii. To co? — zapytał, biorąc paczkę jakąś do ręki.

Doktor powiedział nazwę ingrediencji jakiejś aptecznej.

— A to?

Doktor znów odpowiedział.

Przełożony zadawał w ten sposób zapytania po zapytaniach bez celu i sensu, aż nareszcie wziął flakonik jeden, zatknięty szczelnie zatyczką szklaną, odkorkował i do ust poniósł w celu pokosztowania zawartego w nim płynu.

— Na Boga! — krzyknął doktor — trucizna!

— Trucizna — odrzekł przełożony powoli. To ty truciznę do Ottomańskiego państwa wprowadzasz... e — głową kiwnął.

— Jest to lekarstwo.

— Lekarstwo? trucizna? Kto to słyszał coś podobnego? uhm — mruknął turek i w ucho się palcem podrapał.

— Trucizny używają się jako lekarstwa w razach pewnych.

— *E...pek ii...* Żaden *hekim* tego nie powie.

Doktor odwołać się chciał do świadectwa lekarzy ruszczuckich, lecz Stojan skinął na niego, ażeby zamiar tego zaniechał i wcisnął przełożonemu komory do ręki sztuk parę monety, w skutek czego paki z lekarstwami i truciznami odsunięte zostały na stronę i z kolei otworzono pakę z książkami. Były to dzieła wyłącznie naukowe, po większej części medyczne, pisane w językach niemieckim, francuzkim i angielskim.

— Ooo! — zawołał Turek, biorąc do ręki jedną z książek i oglądając takową ze stron wszystkich bez zaglądania do środka. To zakazane.

— Traktat o chorobach oczów?

— Zakazany — odparł Turek stanowczo, biorąc drugą książkę do ręki.

— To Terapia — rzekł doktor.

— Zakazana.

— A to, o chorobach płuc.

— Zakazana — powtarzał Turek.

— Są to książki — tłumaczył doktor — z których dla państwa najmniejsza wyniknąć nie może szkoda; przeciwnie.

— *Bilmem*. Ja je muszę zabrać i do Stambułu odesłać. Na książki jest rozkaz wyraźny.

W rzeczy samej, we względzie tym przełożony komory stosował się do rozkazów, polecających wszystkie wchodzące do Turcyi książki odsyłać do Konstantynopola, zwracać takowe właścicielom, po przejrzeniu i sprawdzeniu, że nie ma w nich nic niebezpiecznego. W Turcyi atoli obowiązek każdy pojmuje się i praktykuje w połowie tylko, i to w tej, która nakazuje zabrać. O zwracaniu czegokolwiek nikt ani myśli. Książki przeto doktorskie narażone były na niebezpieczeństwo wielkie. Trzeba było chyba z nimi do Konstantynopola jechać, a i to nie dawało rękojmi najmniejszej pod względem uchowania ich od zraty. Przytem, któż zaręczy, że zbiór ten dzieł naukowych nie wyda się zagrażającym podkopaniem misji cywilizacyjnej, jaką władza turecka, w troskliwości swojej o dobro poddanych, wzięta na siebie! Władza turecka stała się nadzwyczajnie, we względzie książek wszelkich, drażliwą i bojaźliwą, od czasu jak z cywilizacją w bliższe weszła stosunki. Książka, jakabądź, w ręku poddanego wydaje się jej z góry niebezpieczną — najniebezpieczniejszą zaś taka, której ona sama nie rozumie. Wielkim więc było prawdopodobieństwo, że Traktaty — traktaty, o! — o chorobach ocznych i płucowych, terapie i inne tym podobne dzieła, za niebezpieczne uznane, skazanemi zostaną na stos.

Doktor wiedział o tem i zadrżał o los książek swoich, tem bardziej, że przełożony komory okazywał się niezłomnym w raz powziętem postanowieniu.

— Przecież, *effendim*, puściłeś trucizny — perswadował mu doktor.

— Trucizny co innego, a książki co innego. Za puszczenie książek, gdyby się o tem w *kanaku* dowiedziało, miałbym tu *kalabały*...a! Nie można, za nic.

— Ani nawet za jedną secinę *gurusz*? — wsunął Stojan tonem insynuacyjnym.

— A za dwie?

— Dwie... seciny... *gurusz*... mówił Turek sam do siebie.

— Jeżeli książki do Stambułu odeszlesz, to z tego nie przyjdzie nic ani tobie, *effendim*, ani nikomu...

Stanie się tylko krzywda *hekim-baszi*. Tak zaś, i *hekim-basza* krzywdy mieć nie będzie i ty, *effendim*, dwieście *gurusz* do trzosa włożysz

Argumenta te trafiały doprzekonania przełożonego, myślał bowiem i powtarzał sobie pod nosem:

— Dwieście *gurusz*.

— Ty człowiek rozumny, *effendim*, wiesz, że *gurusz* dwieście na drodze się nie znajduje.

— Hm... to prawda — odrzekł Turek. Ale... to mało...

— Postąp mu na trzysta — szepnął doktor, uradowany tem, że się przełamały lody postanowienia niezłomnego.

Stojan głową skinął na znak, że wie jak z Turkiem postępować sobie, i:

— Mało? — zapytał — *gurusz* dwie seciny? Każdy *gurusz* ma par czterdzieści, pomysł no więc, *effendim*, co tu par! bodaj, nie *hiliada*?

Turek westchnął.

— *Effendim*!

— Mało.

— A, na przykład, dwieście dwadzieścia pięć... *iki jus jermi bez* (225 po turecku)...czy i to jeszcze będzie mało?

— Mało...

— Oj! — krzyknął Stojan, jakby strzałem ugodzony.

— Niech będzie... *iki jusotuz* (230).

— Ha, niech będzie... niech *pariczki* te staną się dla ciebie, *effendim*, gołębiem, wabiącym do trzosa twego tysiące i tysiące.

— *Aferim* — rzekł Turek, po piersi się dłonią pogładził, pieniądze schował i pakę z książkami wynieść kazał.

Za pakami, które hamaty na grzbietach dźwigali, wyszedł doktor ze Stojanem. Doktorowa i mister Wayton czekali na nich przed komorą.

— No? — zapytał ten ostatni. Cóżecie tam tak długo robili?

— Dobieraliśmy kluczków do sumienia urzędnika tureckiego.

— I dobrałście, nie wątpię.

— Dzięki drobnej monecie.

— Ha! — rzucił Anglik ramionami. Gdzie stąpisz, wszędzie jedno i to samo, z tą różnicą, że w Turcyi trafisz do sumienia za pomocą miedzi, gdzieindziej zaś musisz na ten cel złota używać. Więc, doktorze kochany, złupiłeś, do spółki z urzędnikiem wysokiej porty, skarb turecki?

— Uratowałem od zraty, lekarstwa, instrumenta i książki.

— Niech i tak będzie. Od dawna jestem tego zdania, że złodziejstwa, za które ludzi nad *Betany-bay* wyprawiają, istnieją nie dla czego innego, tylko dla tego, że istnieją złodziejstwa, za które ludziom nadają order Podwiązki i tytuł baronetów. Jedno i drugie w ścisłym pozostają związku. Czy nie tak, pani? — zapytał, zwracając mowę do doktorowej.

— Pozwolę sobie uczynić panu uwagę jedną — odrzekła zapytana tonem półżartu.

— Jaką?

— Tą, że pan masz zwyczaj rozpoczynać rozmowę o ważnych przedmiotach w miejscach, w których prowadzenie takowych absolutnie jest niemożliwym.

— Mam w tem powody moje, bardzo ważne. Unikam przez to wszelkich możliwych obiekty, tak że co powiem, wydaje się mi wielką prawdą, uznana.

Na obiekty wyzywam tylko takich lordów, takie ekscellencye i takich ekscellentissime, jak ci, którym mieliśmy zaszczyt towarzyszyć z Baziasz do Ruszczuku i którzy nam tu zniknęli nagle. Ciekawym, co się z nimi stało. O lordzie wiem, że się udał do piramid i krokodyłów. Ale ekscelencya w perłowym futerku?

— Ten pozostał w Ruszczuku — odpowiedział doktor krocząc powoli za hamatami, niosącymi pakunki do hotelu. Jestto Zia-pasza, dostojnik wysoki, przeniesiony z Bośni do Bulgarii, w celu urządzenia tu stosunków miejscowych.

— Coś w rodzaju komissarza nadzwyczajnego?
— Coś podobnego. Badać ma na miejscu krywdy, pretensje i skargi.

— I czynić z nich ten sam użytek, co dyrektor komory celnej z towarów zakazanych—dokończył Anglik.

Zapewne nie pierwszy to bowiem raz komisarze zjeżdżają, badają i zmian żadnych na lepsze nie zaprowadzają. Oswoił się już z tem i liczymy więcej na samych sobie, aniżeli na dobrodziejstwa konstantynopolskie, ustawicznie zapowiadane a nigdy nie dotrzymywane.

— Dobrze czynicie, zaprawdę — odrzekł Anglik. A cóż się z eksellentissime stało?

— Ewaporował się—odpowiedział doktor.

— Nie mógł zrobić nic lepszego. Gdyby cały rodzaj jego znikł z powierzchni ziemi, cóż to za korzyść ogromną ludzkości by odniosła! Ha!

Wykrzyknik ten wydał na progu hotelu, przedstawiającego się pod postacią budynku drewnianego, w kwadrat zbudowanego, o piętrze, z galeryami od podwórza, na które wychodziły drzwi pokoi gościnnych. W urządzeniu tem znać było wpływ cywilizacji zachodniej, pomimo, że urządzeniu wewnętrznemu brakowało wiele we względzie komfortu, doprowadzonego na Zachodzie do stopnia tak wysokiego! Wielka jednak zachodziła różnica pomiędzy tym hotelem a zwykłą mehaną. Podróżni mieli izby osobne, zaopatrzone w łóżka, w stołki, w stoły; mieli na rozporządzenie swoje usługę, głuchą wprawdzie na wezwania, lepszą atoli od żadnej; na zażądanie posiłku dostać mogli wszystkiego, z wyjątkiem tego, czego żądali. Mister Wayton był za tem, ażeby w Ruszczuku nie bawić długo.

— Moglibyśmy puścić się w dalszą podróż natchem, jeżeli się pani znużona nie czuje.

— Nie zależy to od znużenia mego, ale od wynalezienia powozów, które by nas do Zarnicy odstawiły — odrzekła doktorowa.

— Więc powozów szukać dopiero potrzeba!

— Już się tem brat mój zajął.

— To nie Anglia, przyjacielu — odezwał się doktor. Tu uzbroić się trzeba w dwie rzeczy: w wyrozumiałość i cierpliwość.

— I długoż czekać przyjdzie? — zapytał Anglik, dobywając zegarek i spoglądając na takowy.

— To zależy... W każdym jednak razie, dziś nie wyruszymy.

— A więc, chcąc nie chcąc; odpoczywać musimy. Ha! odpoczywajmy.

Odpoczywającą jednak rzeczywiście była doktorowa tylko; doktor zaś i Anglik mieli najprzód do uregulowania kwesty paszportowej, co zabrało im czasu godzin kilka, a następnie zwiedzali miasto, które, z powodu kolei żelaznej, będącej zaprowadzeniem świeżem, przybierać poczęło pozór odmienny nieco od dawniejszego. W oczy się rzucało wciskanie się europeizmu, zajmującego stanowisko, pod postacią budynków europejskich nowych, wystających tu i ówdzie z pośród domków drewnianych. Dworzec kolei żelaznej nadawał ruch i życie, odbijające raźnie od gnuśności tureckiej, wstydzącej się niejako samej siebie. Na obliczach Turków, starowierców zwłaszcza, prezentujących się w tradycyjnym turbanie i z tradycyjną fajką w rękę, postrzegać się dawało upokorzenie, ztąd zapewne pochodzące, że uznawać musieli wyższość tych, którymi pogardzali. Prorok nie przewidział ani telegrafów elektrycznych, ani kolei żelaznych. Koran, księga wszechmądrości, nie mówi o tem ani słowa. Turecka miłość własna cierpi z powodu tego głęboko i cierpienie swoje wyraża milczeniem posępnem, przerywanem niekiedy maksymą z księgi proroczej zaczerpniętą, a głoszącą, że „moc boża wyższa jest nad wszelkie wymysły ludzkie“. W maksymie tej czerpią Turcy pocieszenie; jest ona oraz krytyką wynalazków cywilizacji europejskiej.

— Gdyby Bóg zechciał—powiadają—to by dmuchnął tylko, a wnet to wszystko obróciłoby się w niewiecz.

Nie jeden Turek szczerze pragnie doczekać się... dmuchnięcia bożego, czuje się bowiem, jakby pod zagrożeniem wydziedziczenia, mającego się dokonać na korzyść giałurów, psów niewiernych, na korzyść tej rai pogardzonej, która wczora jeszcze oblicze do ziemi samej chyliła, a dziś głowę podnosić zaczyna.

Taki bowiem zachodzi stosunek, że o ile Turcy czują się przez cywilizację zagrożeni, o tyle rajowie upatrują w niej zbawienie swoje. Dzieje się to instynktownie.

To cośmy powyżej napisali, jest streszczeniem rozmowy doktora z Anglikiem, jaką toczyli chodząc po mieście i zatrzymując się w punktach rozmaitych, w których przedstawiały się im przedmioty, uwagę na siebie ściągające. Anglik zapytywał, doktor odpowiadał i opowiadał.

— Ziomkowie moi—mówił—garną się do cywilizacji, nie tak wprawdzie jakby sobie tego życzyć należało, dosyć jednak znacznie, jak na naród w ciemności pogrążony i z tego powodu korzyści światła odcenić należycie niezdolny. Massa zachowuje się jeszcze obojętnie, lecz indywidua pojedyncze, których liczba zwiększa się z dniem prawie każdym, dają przykłady prawdziwie piękne. Jeden z mieszkańców Ruszczuku zapisał blisko pół-miliona franków na założenie uniwersytetu bułgarskiego.

— Oh! — zawołał Anglik przeciągle. Myślicie więc naśladować Zachód!

— No? a cóż?

— Chcesz, żebym ci powiedział, jak mi się oświata nasza przedstawia.

— Jak?

— Wyobraź sobie, że w pustyni Sahara, która nie produkuje, tylko piasek, żadnych innych mieszkańców nie posiada, tylko węże i żadnych innych dróg nie zna, tylko te które na niej huragany kreślą, wyobraź sobie, że w pustyni tej zbudował kros kolej żelazną. Czy by kolej ta utrzymać się mogła bez ofiar wielkich? czy by nie była ona przedmiotem zbytku? Owóż to samo z oświatą na Zachodzie zrobiono. W krajach, w których szkółek nie było, w których narody zasypywał piasek niewiedzy ogólnej, pozakładano uniwersytety i akademie. Zrobiono z oświaty przedmiot zbytku, nadano jej od początku charakter ten i skrzywiono ją od razu. I uważaj: od kiedy to Anglia uniwersytetem się chwali, a pomimo to naród angielski brnie w ciemności! od którego to wieku Hiszpania z uniwersytetem wystąpiła, a pomimo to naród hiszpański do najoświeńszych nie należy! Nie, zdaniem mojem, jak kolej żelazna rentować się jeno może tam, gdzie istnieje przemysł, handel, drogi i kanały, tak i uniwersytet, tam tylko korzyść rzeczywistą przynosi, gdzie przygotowano dla niego odpowiednio grunt. Bez tego udziela on światła w znaczeniu monopolu i zamiast pomagać przeszkadza szerzeniu się oświaty, jak monopol wszelki przeszkadza rozwojowi przemysłu lub handlu.

Doktor z uwagą wielką Anglika wysłuchiwał i nie mu na to nie odrzekł. Ten zaś dodał jeszcze:

— Zdaniem mojem, cokolwiek się buduje, budować się powinno zaczynając od fundamentów, nie zaś od dachu. Nie naśladowcie w tem Anglii, Francji, Hiszpanii, Niemiec, Włoch, posiadających uniwersytety od wieku trzynastego, czternastego, a dziś dopiero, w wieku dziewiętnastym, poczynających myśleć o oświeceniu ludu. Na cóż się one zdały?

— Wydały znakomitości tyle!

— Bardziej błyskotliwych, aniżeli pożytecznych—odparł Anglik. A za to, ile to znakomitości zmarniało, dla tego jedynie, że nie miało możności nauczyć się czytać i pisać!

— To prawda!—zawołał doktor, jakby uderzony słowami temi.

Anglik ręką machnął. Poszli dalej. Obeszli miasto całe i powrócili do hotelu, gdzie Stojan czekał już na nich z wiadomością pomyślną.

— Powozy są?

— Są... Nająłem cztery *haraby* parokonne.

Doktor odpowiedź tę Anglikowi przetłumaczył.

— Jedziemy więc—rzekł ten ostatni.

— Jutro z dnia świtaniem.

— A jakże wieczór spędzimy? Teatrów nie ma tu, o tem wiem, ale jest może ogródek jaki.

Doktor odpowiedział na to sposobem tureckim: cmoknął i głową do góry rzucił.

— Jakże mieszkańcy tutejsi wieczory spędzają?

— W gronach rodzinnych. Wieczór jest to pora, w której odbywają się obiady, po nich następuje tak zwany *rahat*.

Anglik zażądał wytłumaczenia wyrazu ostatniego.

— *Rahat*, jest to włoskie *far niente*, kończące się snem. Po obiedzie *rahat*, po *rahacie* sen, w ten spo-

sób upływa wieczór, łącząc się z nocą, przeznaczoną całkowicie na spoczynek. Taki zwyczaj.

— Więc i my zrobimy wedle zwyczaju. Urządźmy sobie ucztę. Uwieńczmy czoła bluszczem, jedźmy, pijmy, niech nam muzyka przygrywa... i po tem samo przez się nastąpi *rahat*.

Słowa te wymówił mister Wayton pół żartem pół seryo, seryo jednak przemagało w nich, tak że doktorowa ze zdziwieniem niejakim spojrzała na niego.

— Och!—rzekł, jakby odpowiadając na spojrzenie doktorowej. Doznaję niekiedy potrzeby... zagłuszyć się!

To ostatnie powiedzianem było całkiem seryo i z takim pryncypem, jakby z serca pochodziło, co dziwniejszem się jeszcze wydało, albowiem, jeżeli o co, to o uczuciowość serdeczną pana Waytona sądzić nie było można. Przebiecie się czegoś podobnego przez skorupek ironii, która stanowiła zewnętrzną jego obłonę, nie mogło nie być zadziwiającem. Doktorowa patrzyła na niego wzrokiem, w którym się malowało pytanie: co to znaczy?

Anglik ręką machnął.

— Eh!—odezwał się i westchnął.

Spojrzał na doktorową, zaśmiał się głośno i zmieniając ton, zmienił oraz i treść rozmowy, zwracając takową na przedmiot podróży jutrzejszej. Rzucił frazesów kilka, wyszedł, postać przez chwilę na galeryi gwiżdząc sobie pod nosem, udał się do izby swojej i drzwi za sobą zatrzaskał.

— Czy on *deli* trochę?—zapytał Stojan, pokazując sobie palcem na czoło.

I doktor i doktorowa ramionami ścisnęli.

— Gdy mówi co—ciągnął Stojan motywując zapytanie powyższe—to go nie rozumiem nie a nie, a gdy się patrzę na niego, to zdaje mi się, jakby mu w głowie czegoś brakło. Gdy się śmieje, to tak się marszczy, jakby piotun połykał.

W rzeczy samej, mister Wayton dość oryginalnie wyglądał. Wzrostu słusznego, baczysty, silnie zbudowany, rudy, obdarzony był fizjonomią nie nader powabną, której akcent osobliwy nadawały brwi sterczące, przy samej skórze ostrzyżone włosy i duże bakenbardy, rozczochrane w dwie przeciwne strony, co twarzy jego nadawało pozór taki, jakby była uskrzydłona, ale bynajmniej nie w sposób angielski. Myśl o anielskości odpędzały: oczy sine w głębi orbity ukryte i wyglądające z pod brwi, jakby z zasadzki, nos zwężony u góry i usta wąskie ułożone do uśmiechu drwiącego. Mister Wayton golił sobie starannie wąsy pozostawiając brodę. Całość fizjonomii jego ściągała wprawdzie uwagę na siebie, lecz nie miała w sobie nic pociągającego, nie wzbudzała ufności. Nie jeden pod wpływem wrażenia, jakie on sprawiał, lekkałby się z nim sam na sam pozostawiać. Nie dziw przeto, że Stojan posadził go o brak klepki jednej w głowie.

Nakryto do wieczery. Doktor poszedł po Anglika. Na pierwsze we drzwi pukanie nie otrzymał odpowiedzi, na drugie usłyszał zapytanie tonem niecierpliwości nabrzmiałe:

— Kto tam?

— To ja... przyjaciel twój, doktor Stanko... Wieczereżę podano, czekamy na ciebie.

— Nie czekajcie!.. Jestem niewidzialny i niejeżdżący do jutra... Dobranoc!

Doktorstwo spożyli wieczereżę we trójkę ze Stojanem, po wieczery poszli spać i nazajutrz, jak skoro dzień zaświtał, znaleźli Anglika na galeryi, w pogotowiu do podróży.

Na powozy nie czekano długo, upakowanie poszło szybko: apteka i książki zajęły dwa wozy, dwa zaś inne wzięli podróżni dla siebie, na jednym Anglik z doktorem, na drugim doktorowa z bratem, woźnicy pozajmowali miejsca swoje i karawana, o wschodzie słońca (wcześniej regulamin nie pozwala), przekroczyła bramę forteczną Ruszczuku, za którą rozchodziły się trzy drogi: jedna na prawo, do Tyrnawy, druga na lewo, do Szumli, trzecia środkowa, prowadząca na Osmanbazar w góry, przez góry do Kazanu, a ztamtąd bądź do Karnabatu ku morzu, bądź też do wsławionej różami i wyrobem różanego olejku Jslimje (Sliwny). Podróżni nasi puścili się tą ostatnią. Konie dość ochoczo ciągnęły haraby pod górę, pyrchając na znak że się podróż pomyślnie odbędzie. Za miastem otoczyła wnet wędrowców atmosfera sielska: skowronek powitał ich piosnką szczebiotliwą, w zbożach odezwały się przepiórki, na prawo i na

lewo, bliżej i dalej brzmiały hymny poranne stworzeń, witających króla światła, słońce, wzbijające się coraz to wyżej na wschodnim nieboskłonie i rozpraszające tumany białawe, które w dali znaczyło się łożysko Dunaju. I woń subtelna unosiła się w powietrzu. Była to woń kwiatów polnych, napojonych rosą nocną, która się pod działaniem ciepła promieni słonecznych ulatniać poczyniała.

Anglik wychylił głowę z haraby, oglądał się, pił wonne powietrze płucami całemi i od chwili do chwili powtarzał, mówiąc sam do siebie:

— To Bułgaria... hm... Bułgaria.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Wystawa obrazów w Krakowie. — Szkoła sztuk pięknych. — Koncerta. — Kilka nowych rozpraw naukowych. — Stosunki dziennikarskie. — Projekt nowego peryodycznego wydawnictwa. — Lilia Wawelu, dramat w 5 aktach przez Juliana z Porado-wa (Pani T.) — Wypadek na kolei.

Kraków w styczniu 1874 r.

Przed kilkoma miesiącami wspominałem o dojsściu zgody pomiędzy towarzystwem sztuk pięknych i wieloma malarzami krakowskimi, zebranymi w hufiec liczny pod wodzą Matejki. Mniejsza już dziś o powody sporu, ale to pewna, że obie strony, a najwięcej publiczność traciła na nim. Mówię obie strony, bo jakkolwiek artysta tej sławy co Matejko, nie potrzebuje dbać o salę do wystawy, wszędzie i zawsze ściąganie tłumy widzów, gdy zechce sprawić publiczności przyjemność pokazania swych arcydzieł, to plejada ciągnących za nim malarzy miała trudność popisu, a więc i spieniężenia swych obrazów. Że jednak na zgodzie w pierwszym rzędzie zyskało towarzystwo sztuk pięknych i my śmiertelnicy zwykli, którym ani iskra geniuszu, ani nawet promyk talentu nie oświeca czoła, o tem przekona się każdy, kto zechce porównać obecną wystawę obrazów w Krakowie z zeszłoroczną. Było tu zawsze dość ładnych obrazów i rzeźb, ale nigdy takiego przepełnienia, że sześć sal wystawy zaledwie pomieścić zdoła nadsyłane okazy, a utwory rzeźby mieścić się musiały prawie wyłącznie w obszernym przedsionku. Nie mogę nadużywać cierpliwości łaskawych czytelników, formalnem sprawozdaniem z tego popisu naszych najlepszych talentów, ale w krótkości wypada mi wspomnieć o niektórych, przynajmniej ważniejszych dziełach sztuki. Batorego pod Pskowem wszyscy znają z wystawy wiedeńskiej, a i Kraków nie pierwszy go już raz ogląda; temi dniami jednak pojawiła się nowość pędzla Matejki, nowość tem większa, że odskakująca znacznie od innych obrazów mistrza, tak pod względem formy, jak treści. Wbrew zwyczajowi, Matejko obdarował nas nie wielkim obrazkiem, formatu zaledwie pół-arkusza papieru, co szczególnie wygląda, gdy się przywykło stawać obok wielkich płócien tego malarza. Przedmiot też nie jest historycznym. Płótno przedstawia Macieja z Borkowic wojewodę poznańskiego, który dawał przytułek zbójom i za to przez Kazimierza Wielkiego wtrącony został do piwnicy na śmierć głodową. Właśnie skazany zstępuje po drabinie do okropnego lochu w zamku Olsztynskim; po prawej stronie stoją rycerze i jeden z nich trzyma wyrok, do którego z ciekawością zagląda mnich, co snąć ostatnią niosł pociechę skazańcowi. Kratę do piwnicy podniósł postugacz, po lewej zbójcy stojący, a po za kratą widać jeszcze młodego człowieka, którego strój nieco wykwinął i barwisty, wskazywać się zdaje, że musi to być paź, wysłannik króla, co przyniósł wyrok straszliwy. Zaledwie siedem osób na tym obrazku, ale wspaniałych. Wojewoda wygląda na chłopca polskiego, tylko zamiast pogodnej twarzy wieśniaka, spotykamy odrzę wzbudzającą zbójczą minę skazańca. Olbrzymiego wzrostu, widocznie silny, opiera się o oba brzozy ciasnego wchodu; potrzeba będzie użyć nie małego trudu, aby go we-

pehnać do dołu. Wzrok jego przenikliwy, trochę chytróści, a trochę idiotyzmu przebija w nim zarazem. Jest to jakby typ rozbójnika. Podobnie odrażającą minę ma stojący obok, uchylający ciężką żelazną kratę pacholek. Wyglądający na oprawcę. Ubrany w białiznę. Z obojętnością odgrywa swą rolę, w której mu główna przypadła akcja, jak człek przywykły do widzenia męczeństwa, niemal czujący pewną przyjemność w spełnianiu podobnych poleceń. Młody paź przeciwnie, zakrywa oczy; jest to jedyna figura wyobrażająca żal, przerażenie; tak mnich, jak rycerze patrzą z politowaniem spokojnem na dzieło, niby surowi sędziowie, nie mogący się uchylić przed koniecznością. Pomysł obrazu, rozmieszczenie figur, żywość i wyrazistość twarzy, nie pozostawiają nic do życzenia, a wykonanie szczegółów drobnych równie staranne, jak we wszystkich pracach Matejki. Są tu naprzykład kitki z pawich piór u rycerzy, tak wytworne pomimo swej małości, że chyba piękniejszą od nich będzie zbroja, wykonana z taką ścisłością, jak złoty pancerz Batorego. Konewka z wodą i wiązka siana, ludzą prawie doskonałością naśladowania natury.

Dwa nowe portrety, przez Matejkę robione, są również bardzo znakomite, ale jednak większe wrażenie czyni portret kardynała, roboty Rodakowskiego. Matejko pojmuje portret ze stanowiska nieco realistycznego, oddaje on rysy zdrobiazgowem wykończeniem najmniejszych szczegółów, ale rysy te są niemal martwe, twarze bezkrwiste; raczej chłód wieje z portretu, aniżeli duch osoby. Przeciwnie, kardynał Rodakowskiemu ma tyle życia, tyle ciepła w wyrazie twarzy! Koloryt błady fizyognomii u Matejki; w Rodakowskim znowu czuć pulsowanie krwi. Figury Matejki spoglądają z powagą, ale jakby nie nie mówiły, uchwycone widocznie w chwili pozowania; kiedy właśnie kardynał patrzy takim łagodnym, spokojnym, myślącym, nieco poetycznym wzrokiem, że mimowoli przywiązuje się do starca. To piękniejsze, bo to poezja życia w portrecie, kiedy tamto jest tylko oddaniem rysów.

O ileż jednak z drugiej strony wyższym jest Matejko od innych artystów, jako malarz historyczny. Mówiono wiele o Wojnie Kokoszej Rodakowskiego, ale ta porównać się nie da z arcydziełami Matejki. W akcyi dramatycznej Matejko umie nadać tyle życia i wyrazistości swym postaciom; każda przemawia swym odrębnym językiem, gdy u Rodakowskiego nie ma tej przeróżnej charakterystyki osób. Przytem układ figur także mniej trafny, lewa część obrazu w wojnie kokoszej prawie całkiem pusta, a na prawej, jakby w jednym punkcie, tłoczy się całe otoczenie królewskie. Oczu dopiero powiedzieć o różnicy kolorytu i wykończeniu drugorzędnych przedmiotów. Zawsze jednak Wojna Kokosza nie wydaje mi się zasługującą na takie nagany, jakie ją spotykają; znać w niej artystę poważnego i dobrego malarza.

Zupełnie inaczej przedstawia się olbrzymie płótno, rozmiarami półtora raza większe od obrazów Matejki, a przedstawiające Traktat toruński Kazimierza Jagiellończyka z Krzyżakami, zamalowane przez Jaroszewskiego. Dzieli się ono na trzy części: pasowo-karmazynową, białą i zielonkowo-siną; karmazynowym jest król, kardynał, świta królewska, przykrycie stopni tronu, ale co gorsza, karmazynowym nawet płomieniem żarzy się powietrze tej strefy; Krzyżacy zabielają swemi płaszczami prawą dolną część obrazu i znowu powietrze jest tu do białości jasnem, kiedy u góry jest ponurem i ciemnem, jak strój zielonkowy tłumów. Koloryt więc zupełnie chybiony. Starałem się wyobrazić sobie ten obraz bez barw, jakby wyglądał w rysunku samym; ale i tak nie przedstawiłby się lepiej. Postacie przemawiają wprawdzie, ale pojęcie chwili niemal trywialne. Strony podpisujące traktat boczają się na siebie, niemal jak Chrystus z Herodem w pocziwie szopce krakowskiej. Nie ma tu zwycięzów szlachetnych, pełnych zapału, radości z dokonanego dzieła, nie ma majestatu potęgi narodowej; jak u Krzyżaków nie znać złamanej dumy, ani upadającej siły pysznego zakonu. Sala największych rozmiarów z trudnością pomieściłaby mogła tłumy tu nagromadzone, duszno im na obrazie, rozpierają — zdaje się — ramy, aby się wydostać na powietrze. A jednak artysta zdaje się nie być zupełnie pozbawionym talentu. Pomimo ogromu płótna, akcja rzeczywiście skupia się około stołu, przy którym Wielki Mistrz Zakonu ma podpi-

sać warunki traktatu. Niektóre figury wzięte oddzielnie, są dobrze rysowane, nawet Bismark sportretowany udatnie, chociaż ruchy rąk ma nieszczęśliwie; jest tam jeden żołnierz polski, zupełnie chybiony jako typ żołnierza, a takim ma być, gdyż wysunięty na pierwszy plan, ale na typ Szeli lub Żeleźniaka wybornie-by się nadał. W ogóle chytróść, złość, nienawiść udają się panu J. lepiej od innych uczuć i może będzie to źródłem jego przyszłych zalet. Porwał się on widocznie na rzecz olbrzymią, uwiedziony na błędne drogi talentem Matejki, nie obliczywszy się z siłami. Wystawiony obok tego ogromnego płótna mały obrazek Matejki, świadczy, że nie wielkość obrazu, ale talent i zalety techniczne stanowią artystę.

Obok obrazów historycznych, mamy na wystawie wiele pięknych akwarel Kossaka, tak z wystawy wiedeńskiej jak: bitwa pod Custozą, Rewera Potocki, jako też drobniejsze, nowsze, naprzykład: Podoficer pułku grenadierów, Ułan, Huzar, Kirgiz i inne. Gryglewskiego przepyszne wnętrza dawniej już widziane, lub jak z Łazienek w Warszawie zupełnie świeżo tu wystawione. Kotsisa żebraków widzieliśmy także dawniej przy wystawie Stefana Batorego, ale nowością jest jego wnętrze wiejskiej zagrody, odznaczające się wielką charakterystyką szczegółów i tym sielskim spokojem, urokiem prostoty nie przesadnej, jaki artysta umie nadawać tematom, brany z życia ludu wiejskiego. Strejta „Gagatek rodziny“ jest bardzo wdzięcznym także przedstawieniem rodzinnego przywiązania do najmłodszego braciszka. Myśli tylko głębszej, jaką dawniejsze obrazy Strejta odznaczały się, brakuje tu zupełnie. Na taczce świeżo skoszonej trawą naładowanej, siedzi dwuletnie dziecko, upstrzone w jakąś czapeczkę czy chustę, krzywo nałożoną na głowie. Z wielkiem zadowoleniem z tak pysznej jazdy, spogląda figlarnie to na matkę ciągnącą taczkę, to na siostrzyczkę i brata, przymilających się do niego. Szkoda wielka, że tak udatny temacik umieścił artysta w ogromnem a pustem zielonem przestworzu. Krajobrazu nie ma żadnego i ta mała grupa żyjących na obszernem tle zieleni, wydaje się jakby wędrująca przez stępy szpinakowe rodzina wygnańców. Przytem koloryt u Strejta zawsze mdły i niejasny, co odbiera jego obrazom życie i siłę. Łatwiej to było wybaczyć przy wystawieniu zniszczenia, na dawnych płótnach Strejta, aniżeli w utworze, w którym właśnie piękność krajobrazu mogła podnieść wartość dzieła.

Najsilniejszym objawem realizmu w malarstwie, i to realizmu w złym guście, jest Wilczyńskiego żebraczka łąająca swe łachmany. Rysunek bardzo wprawny, uderzająca charakterystyka wyrazu twarzy, odzieży i wszystkich szczegółów sprawia, że obraz ten olejny czyni wrażenie przykre, wzbudza obrzydzenie. Szkoda zaiste pięknego talentu na tak nie smaczne przedmioty. Rozumiemy wszelkiego rodzaju rysunki, ale wymagamy, aby nawet rzecz brzydka usprawiedliwiała się myślą, która może być piękna, lecz czego zrozumieć trudno, to celu wybierania tematów wcale nie estetycznych. Odmalować da się wszystko, nawet z wiernością godną podziwu, ale trzeba mieć zupełnie spacone o sztuce pojęcie, aby malować coś tylko dlatego, że brzydkie, bez żadnego innego powodu. Chyba przypuścimy dążenie do ideału obrzydliwości, ale i tego tu nie ma, tylko prosty realizm odrażających form.

Brodzki, jak zwykle, rzeźbi dzieci, umieszcza je w konsze, daje podstawę ozdobną, na której parę gołąbków drucha, niekiedy zasłona przykrywa amorka lub kupidynka śpiącego. Aż dwoje takich dzieci mamy na wystawie, jedno z marmuru, drugie brązowe; szczególnie pierwsze bardzo ładne. Poznać artystę dzieła łatwo, nawet nie znawcy, tak są treściwą, poniekąd i formą zbliżone do siebie. Jest to wielki rzeźbiarz ślicznych cacek, do zdobyci wspaniałych salonów. Nie jedna matka pozna w kupidynku swego aniołka, szczególnie jeśli go już nie ma między nami. Marmury otoczone zielenią kwiatów i krzewów, dadzą obraz smutny uśmiechniętego dzieciątka w trumience. Jakoż śpiące dziecko ma tak mało życia, że wyobraźni stawi tylko rzewne obrazy przed oczyma.

Oglądamy tu także znane w Warszawie rzeźby Gądomskiego, mianowicie jego Kopernika, który szczęśliwie łączy w sobie powagę mędrca z prostotą

formy. Nie ma w Koperniku najmniejszej przesady, artysta uniknął zbyt technicznych napraw narzędzi astronomicznych, a natomiast uchwycił podobieństwo dawnych portretów, nadał swemu Kopernikowi wyraz słowiański.

Z pomiędzy rzeźb warto jeszcze wspomnieć poezję „chichotkę“ (Rygiera z Warszawy), niektóre rzeźby osób, jak Adama Potockiego, Zamoyskiego Andrzeja i kilku innych, bardzo starannie wykonane. W ogóle teraz liczba rzeźb znacznie się wzmogła i rokuje wcale piękny rozwój tej gałęzi sztuki. Płaskorzeźb natomiast nie wiele, pomiędzy niemi ładne są roboty Kozakiewicza.

Za długo może rozpisałem się o wystawie, ale nie mieliśmy jej przez pół roku, a obecnie znowu światłością swoją tak przewyższa ona dawniejsze, że wypadało pobiżnie przypatrzeć się salom, przez dzieła sztuki ozdobionym. Jeżeli dziś mamy tyle do widzenia, to może z czasem będzie jeszcze lepiej, skoro pod kierunkiem Matejki rozwinie się w całej pełni szkoła malarstwa, której przewodnictwem powierzone zostało naszemu mistrzowi. Kraków zawdzięcza oddanie tutejszej szkoły sztuk pięknych pod dyktando Matejki, dzisiejszemu ministrowi Ziemiałkowskiemu i pozostanie to niewątpliwie we wdzięcznej pamięci podwawelszczyków, zapisane za zasługę temu mężowi. Natomiast od nowego roku szkolnego zamknięto szkołę muzyczną, do której rzeczywiście nie wielu uczęszczało amatorów, ale która była jedyną dźwignią Euterpy, mianowicie przez szkołę śpiewu, dla nie zbyt muzycznego usposobienia naszego grodu. Rzeczywiście Kraków nabył już tak zły sławy u artystów fortepianowych i smyczkowych, że omijają nasze mury, jakby zapowietrzonego miasta. Niekiedy ktoś próbuje, ale zanim się zdecyduje ostatecznie, ucieka co prędzej; tak w zeszłym roku przemknął pan Frieman, obiecywał dać koncert i w końcu, zdaje się, postanowił zacząć, aż lepsze nadejdą czasy. Podobnie postąpili sobie inni. I rzecz dziwna, teatr zawsze u nas jeśli nie nabity, to dość pełny, przynajmniej dyrekcyja teatralna nie uskarża się wcale. Chociaż nawet publiczność niekiedy narzeka — zawsze idzie dowiedzieć się, co słychać w teatrze. Sztuka nie raz stara, ograna, pospolita, ale teatr zajmuje, stał się potrzebą, więc nie ma obawy pustych ławek. Towarzystwo sztuk pięknych liczy do 300 członków, obrazy zakupują prywatni, a wystawę zwiedza wiele bardzo osób. O każdej nowości mówią, zajmują się nią. Jednej rzeczy brak nam wprawdzie, to krytyk głębszych, poważniejszych, tak dramatu jak i sztuki plastycznej. Publiczność posiada zaimitowaną piękna, ale muzyki widać nie lubi. Koncert nawet europejskiej sławy wirtuozów nie ściąga słuchaczy i tylko za pomocą osobistych niemal stosunków, można się uchronić od grania dla lamp, kinkietów i luster sali hotelu saskiego, przeznaczonej na koncerta. Doznał tego pan Hofmann, tutejszy dyrektor operetki, który chociaż nie ma sławy mistrza, gra jednak bardzo sumiennie, inteligentnie i cieszy się sympatją publiczności. Ale koncert nie zajmuje nikogo, jakkolwiek zatem koncert był nawet bardzo ładny, osób było nie wiele. Cel dobroczynny dopiero nagromadza zwykle większą publiczność. Tak się i teraz stało. W dwa dni po koncercie Hofmanna, był koncert na korzyść stowarzyszenia nauczycielek, o którym pisałem w ostatnim liście, a grał na nim tenże pan Hofman, deklamował aktor pan Wardzyński i tylko zamiast pani Majeranowskiej, śpiewała panna Mecenzeff. Sala i galerya pomieściły z 500 osób obojej płci. I ten drugi koncert był bardzo ładny. Pan Hofman powtórzył na nim rapsodyę Liszta z tematów węgierskich, na fortepian i orkiestrę ułożone, których wykonanie zjednało mu grzmoty oklasków; panna Mecenzeff szczególniej podobała się, jako śpiewaczka drobnych piosenek, okazujących, jak się zdaje, najbardziej wybitną stronę jej talentu, a pan Wardzyński dowiódł, że istotnie należy do rzadkich deklamatorów. Szczególniej na koncercie poprzednim deklamował on z siłą i prawdą, chociaż może trochę aktorskiej przesady w ruchach należałoby powściągnąć. Pomiedzy innymi wypowiedział pan W. utwór Gabrieli „Miłość kobiety“, jeden z piękniejszych wierszy naszej literatury, a z przykrością wyznać przychodzi, że mało tu znany. W ogóle zdaje się, że pisma Gabryeli tak szybko zostały rozkupione w powtórznym wydaniu, iż nie od rzeczy byłoby

pomyśleć o ponownym przypomnieniu ich publiczności.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Józef Tretiak. — *Pamiętniki Daniela*, powieść współczesna. — Lwów, 1873.

Pan Daniel, którego tu czytamy *Pamiętniki*, jest to bardzo i ze wszech miar porządnym młodzieniec, dobrze wychowany i uczciwy, co jest rzeczą główną; a zarazem ukształcony poważnie, co jest rzeczą rzadką; demokratyzujący, ale tą demokracją attycką, która z ulicy zmierza ku Olimpowi, wzorem Peryklesa, nie zaś francuzką, która z ulicy mierzy w rysztyk, wzorem Feliksa Pyata. Podoba się nam natura Daniela, żelazna a czuła, dumna a ustępna, męzka a barwna.

Tylko p. Daniel dziwaczy nieco z początku jakimś sceptycyzmem, czy bajronizmem, słowem ironiczną melancholią, która każe mu się zamykać w samotności, w oderwaniu od stosunków ludzkich, co niby znaczyłoby — w oderwaniu od pracy czynnej i wpływowej, społecznej; która mu nasuwa takie zapytania, jak to: — poco ja żyję na świecie, doprawdy nie wiem: myślałem długo nad tem, jakieby zadanie wymyślić dla swego żywota, ażeby go jakoś uprawnić, jeżeli nie przed ludźmi, to przynajmniej przed sobą samym;... i tym podobnie. — Takie pytania przypuszczają się w człowieku albo bardzo przeżytym, albo bardzo zranionym, albo bardzo niedołężnym. Gdy zaś p. Daniel nie pozostaje w żadnym z tych trzech przypadków, ani nawet na usprawiedliwienie swej hipokondryi nie ma lat późniejszych, a poprzedzonych życiem próżniaczem i hulaszczem karecianych szlifów, ale przeciwnie, wspomnienia pracy umysłowej i szlachetnych dążeń, przeto dziwimy się, że na swe uwagi sam sobie znaleźć nie mógł odpowiedzi stanowczej, jaką ludzie i najbardziej zrazeni do życia, a mniej nawet posiadający od Daniela prawdziwych jego zasobów, przy dobrych jedno chęciach znajdują w tej krótkiej radzie ewangelicznej: kochaj bliźniego swego.

O tak; kochaj go pracą, radą, pomocą; kochaj go im bardziej złym jest i upadłym, bo wtedy on najbardziej pomocy twojej potrzebuje, a tak kochając go, pokochasz i samego siebie, dla wartości swej, i miłość ta rozjaśni ci oczy na cele żywota. — Jeżeli zaś ewangelia jest dla ciebie tylko książeczką dobrą do studyów archeograficznych, nie zaś powagą dla woli twojej i umysłu usamowolnionego z pod wpływu przesądów; jeżeliś z larwy powstał a w nicość masz się obrócić, toć i niedziwna, że przy braku wewnętrznych zadowoleń, nie zechcesz poszukiwać ich w życiu i w kojarzeniu się z bliźniemi dla dobra i podniesienia ucywilizowanych bydląt, jakimi są dla ciebie — dodać trzeba — konieczni ludzie; chwila trwania ich i twoja na ziemi, tego zachodu niewarta.

Otóż takie zapatrywanie, takie ograniczenie człowieka, jest właśnie tem, przeciwko czemu walczą tak zwani *idealiści*, przeciwko którym znowu odzywają się nieczne szemrania materyalistów przebranych w pożyczane stroje pozytywistyczne, podając ich za jakichś czczych marzycieli¹⁾. Powiadamy, nieczne; gdyż nie jest cnotą mówić o rzeczy której się nie zna, albo znając ją, znaczenie jej wywracać. Jeżeli który z nich zajrzał do książki i sprawdził jakie były zasady i życie pierwszego idealisty, Sokratesa, zasady przeprowadzone i wypełnione przez usta Platona, przekonałby się, że tam cnota, moralność, godność czło-

wieka, sprawiedliwość i praca udostojniająca umysł, były gorąco umiłowanemi bohaterkami tych tak zwanych przez nich *romansów*, to jest marzeń; przekonałby się, że rozwój myśli w tym kierunku od Platona aż do Hegla był dążeniem najszlachetniejszym do wynalezienia kryterium prawdy, mającej kierować czynami człowieka w duchu swobody i miłości braterskiej; przekonałby się, że ten tylko, idealny, kierunek stawiał tam barbarzyństwu wynikłemu właśnie z uwielbienia zmysłów i materji, że on to, gdy innego nie było, powznosił instytucje w których przynależała ludzkość, moralność i nauka, że on to nareszcie umiał odróżnić drogę umiejętności ściślej od drogi hipotez pod względem znaczenia i przeznaczenia człowieka, a sojusż i przyjaźń między temi dwoma kierunkami zachować. Widzimy i ocenić możemy, obok jego zbroceń i nadużyć, cywilizacyjne wpływy idealizmu, który drogę swą wiekowemi etapami oznaczał; co zaś uczyni pozytywizm, nie jako metoda umiejętności, słuszną a dobrze znana idealizmowi, ale jako zasada filozoficzna do której ma pretensję, tego jeszcze nie wiemy. Jest on dopiero u swych początków: jeszcze praw obrotu ciał niebieskich nie nakreślił, Ameryki nie odkrył, pary nie zastował; wszystko to przed nim uczynili matematycy i fizycy za pomocą metod tym tylko wyłącznie umiejętnościom właściwych, nie zaś skutkiem nawrócenia się do pozytywnego dogmatu filozoficznego.

Jakkolwiek dogmat ten obiecuje złote góry pod względem socyalnym, to wszakże pewna, że kwestję duszy ludzkiej mieszącą z kwestją organizmu, a więc osłabiającą, ba nawet negującą istnienie pozaziemskie, odbiera człowiekowi jedyny powód trwania w tem nędznym życiu, odziera go z celów jedynych, jakie życie to rozweselić mogą. A nie mamy, mówiąc to, na uwadze kilku umysłów wyjątkowych jak p. Daniel, którym przekonanie o osobistej godności, choć przy takim porównaniu bydląt z ludźmi nie wiem na jakim dyplomie opartej, wystarcza; ale miliony, które godność tę o tyle czują i o tyle przez wieki czuć będą, tak jak przed wiekami czuły, o ile im starczy pewności lub przynajmniej prawdopodobieństwa, że ją czerpią z kądinąd, z Istoty od siebie nieskończenie wyższej, z którą połączyć się mają.

P. Daniel zatopiony w sobie samym i wysmiewający pojęcia bezwzględne o bóstwie, przyszedł do wniosku, że od niego „wszyscy ludzie są albo głupszy lub gorsi“. Otóż do jakiej to pychy doprowadza zamknięcie się w sobie i jakaś ateistyczna melancholia. Wniosek najfałszywszy, bo oto późniejsze fakta stwierdziły zgoła co innego: bohater nasz przekonał się, z tego przynajmniej co nam ze wspomnień swoich pozostawił, że ludzie nie byli wcale ani głupszy, ani gorsi od niego, tacy nawet którzy ani takiego ukształcenia nie przyjęli jak on, ani tak sami sobie organizmem własnym starczy nie chcieli, jak on.

Ku temu dostatecznem było ażeby Daniel przestał zapatrywać się na świat z gabinetu zaciesnionego książkami, i udał się między ludzi.

Wyobraźmy sobie młodego człowieka, który przy całej gorącości krwi i utajonem pragnieniu życia, prowadzi się jak pustelnik. Zabijany monotonią, dręczony bezcelowością, nurtowany niezaspokojonemi potrzebami duszy młodzieńczej, siedzi zamyślony, ze spuszczoną głową, nieświadomy co jutro czynić będzie ażeby wyjść z tego stanu odrętwiałości; ciemno mu w głowie i w oczach, ponuro w sercu; niezadowolenie i niesmak przyschły do całej jego natury. Cóż go z takiego stanu wyprowadzić może, i myśli jego całkiem do góry nogami wywrócić? A już to o czem na śmierć zapomniał, a co przecież jego najbliższe, najnaturalniejsze. Niechże w tej chwili osowienia nagle oprze się o jego ramię dziewczyna naiwna i niewinna (proszę nie łączyć z sobą tych dwóch wyrazów tak podobnych brzemieniem, bo często się rozmiągają), niech mu spojrzy w oczy z czułością, tym wzrokiem który powiada: przecież ja mogę być twoją, bośmy do tego stworzeni, a ze mną ujrzysz nowy świat wrażeń, myśli twoje znajdą cel, którego darmo szukasz w rzeczach martwych naokoło siebie. Jeżeli i wtedy jeszcze młodzieniec nie ocknie się ze swego odrętwienia, to już mn tylko zostać anachoretą, albo handlarzem niewolnic.

Nie takie jednak było przeznaczenie Daniela. — Kolega jego, Karol, przyszedł go prosić na sekundanta w pojedynku z mniemanym uwodzicielem żony jego Amelii. Okoliczność ta wyprowadza nasam-

¹⁾ A to do tego stopnia że jedno z czasopism tutejszych, choćdające pozytywizm i znane ze śmiałych definicji, *idealizowanie* nazwało *obelgowaniem*. I to też samo czasopismo, które z drugiej strony pozytywne *przytwierdzenie* myśli obcego autora i podanie ich za swoje, przy upomnieniu się nazwało, a posteriori tę czynność *streszczeniem*, *sfałszowaniem* zaś konkluzji zgola milczeniem pominięto. Pokazuje się, że słownik języka polskiego musiałby, na tej zasadzie, uleść grubym modyfikacyom.

przód Daniela z zakopeonej izby na łono natury, pośród łąki i lasy, w przestrzenie uwionione techniem świeżo rozkwitego maju. Natura sama z siebie już jest lekarką schorzałych umysłów i serc, co dopiero gdy na jej łonie ukaże się człowiek, który od niej nie zбочzył, ale pozostał w jej niewinności i prawdziwości.

Takim człowiekiem była Hela, młodziuchna córka leśnika, do którego chaty sekundanci wprowadzili lekko ranionego Karola: ojciec i matka harmonizowali z córką pod względem czystości i prawości uczuć.

Uważamy za zupełnie trafny ten pomysł autora, że chce dodatkowo podzielać na odrętwiałą duszę młodzieńca, nie wyszukał dlań kobiety z odpowiedniej sfery, gdzie kunszt wprowadzie bogaci umysł i stroi go w różne przyjemne zasoby, które jednak mogły zpowszednieć tak obywatelu z cywilizacją, człowiekowi jak Daniel, mogący z góry przewidzieć i obrachować cały szereg szczegółów i niespodzianek takiego stosunku. Jeżeli młodzieniec ten mógł otrzymać jakieś budzące wrażenie, to tylko z przeciwnego a całkiem nieznanego i nowego świata, jakim mu był świat natury: tu dopiero mogły być dlań prawdziwe niespodzianki. Oczywiście że jest natura i natura: jedna brutalna, zwierzęca, druga naiwna i na taką też natrafił Daniel. Oceniał on ile w tej naiwności wiejskiej dziewicy mieści się wdzięku, ile pod nią spoczywa ukrytych zasobów, mogących pod techniem ukształcenia rozwinąć się wspaniały ideał kobiecy: *spiritus flat ubi vult*.—Otóż i sceptyczny filozof uplątany w delikatną uczucia sieć, która całkiem oddzieliła go od przeszłości. Ktoś może zarzucić że to nie jest rzecz naturalną, związki podobne słuszne za rzeczywistość, i ten ktoś będzie miał słusność jeśli spogląda tylko na formalną, powszednią stronę życia. Ale tu niema wcale mowy o powszedniości, to nie jest zwykła do panny zalecanka kawalera poszukującego żony, jako jednego z warunków socjalnych: ani Daniel, ani Hela nie są istotami powszednimi, a przecież i w świecie zwyczajnym niejednokrotnie już doświadczenie wskazywało nam podobne kombinacje uczuć.

Że Daniel nie był człowiekiem powszednim, jużśmy to po części widzieli, a zobaczymy jeszcze wyraźniej. Powoli przychodzi on do powiedzenia sobie że kocha Helę, ale w żaden sposób nie może zdać sobie sprawy z tego co ma czynić z tem swoim kochaniem. I nie dziwnego: kłopoty Daniela stanowią tu nie najmniej zajmujący, a nader prawdziwy wątek Pamiętników. Oświadczyc się?.. On, pan, oświadczyć się chłopce, nieco wyższego wprawdzie rejestru hierarchicznego, ale zawsze chłopce; na to trzeba być pewnym być jej przedewszystkiem wzajemności, a następnie umieć zyskać zezwolenie ojca, który wcale nie był człowiekiem zdolnym aprobować lekomyślnych wybryki i śmiało mógł to wszystko wziąć za chwilową fantazję pana, którego ani wyzyskiwać ani za narzędzie przyszłego nieszczęścia córki obierać nie miał humoru. Idą więc rzeczy swoim biegiem; Daniel korzystając z przedłużającej się niemocy Karola, odwiedza go precz w chatce leśniczego, i coraz bardziej umacnia się w uczuciu dla Heli, która ze swej strony z przychylnością widuje młodzieńca. Co się tam dzieje w jej sercu za jego zbliżeniem, zawsze dla niej tak przyjaznym, odgadnąć trudno; ale to pewna, że ubogie ale naiwne dziecię wsi ani wpada na myśli wirujące po głowie Daniela. A nuż się zakocha, będzie to dla niej nieszczęściem całego życia, gdyby Daniel albo uczucie swoje zachował w tajemnicy, albo co gorsza przeniósł je w inną stronę.

A nie tak to bardzo odległy ten ostatni przypadek, bo oto pani Amelia, którą także poznał Daniel skutkiem choroby męża, nieustannie wyśpiewuje nad nim piosnkę syrenią. Przyjemna to istnie niewiasta, ta pani Amelia, tylko poszła za męża nie po swojej myśli, jak sama wyznaje to Danielowi. Karol jest dla niej zanadto słabym i zanadto zazdrośnym, pomimo że kocha ją, że przekonał się o jej zupełnej niewinności w fakcie który wywołał ów pojedynek, Amelia żyć z nim nie chce. Daniel gorąco i uczciwie przyjmuje rolę pośrednika; ale Amelia ani chce słuchać i wciąż daje do zrozumienia że byłaby bardzo zadowolona, gdyby sam pośrednik w czynniejszej wystąpił roli. Daniel jednak, urokiem naiwności podtrzymywany, uchyla się jak może od tych po-

cisków i postępuje nawet krokiem naprzód w sprawie ze swoją Helą.

Wyrzucony z posady leśnik, znajduje miejsce u Daniela na wsi, niegdyś dziedzicznej, którą teraz młodzieniec umyślnie wziął w dzierżawę aby mógł wraz z żoną pomieścić Jędrzej, jako rządce. Jednocześnie wymógł na ojcu, ażeby pozostawił na pewien czas w mieście dla edukacji córkę, którą też sam w znajomym sobie, zacnym domu umieścił i osobiście podjął się jej niektóre przedmioty wykładać. Brnął tym sposobem coraz dalej w uczuciu i napałwał niem serce Heli, sam jeszcze nie wiedząc co się z tego wywiąże, szczęście czy niedola. Bo oto pani Amelia, która przez cały ten czas od pojedynku mieszka u swojego ojca, przeczuła instynktem zamiary Daniela i rozwinęła wszystkie zasoby zalotności ażeby go od sielanki oderwać. — Raz rozbudzone w stronę erotycznych uczuć serce Daniela, z trudnością nareszcie walczy przeciw pokusie, już nie pytającej o środki, nawet o przystojność; już namiętność kobieca zbrojna wszystkimi ponętami szalu staje przeciwko cichemu uczuciu zaledwie rozwiniętemu w sercu młodzieńca: ciekawiliśmy jak wyjdzie filozof z tego rozdarcia pomiędzy olśniewającą zmysły pokusą, narzucającą mu się z całą gwałtownością i poddaniem, a tem co on w sercu swem poczytuje za jakiś obowiązek względem siebie samego, choć żadnym ścisłym wyrazem niesformułowany.

Autor miał tu dwie drogi zarówno dobre i logiczne: upadek albo zwycięstwo; obie prowadzące do pewnych zdrowych konkluzji psychicznych. Nie takich Samsonów jak Daniel, widzieliśmy upadających u nóg mniej może ponętnych Dalili jak była Amelia; mniej znowu silni Heraklesowie wymykali się Omfalom: kwestya więc tylko w tem, czy utwór przybierze odtąd charakter tragedii, czy komedii, a rzecz tę rozstrzygnąć muszą motywa. Otóż Daniel zwycięża; a jedynym motywem jest nic innego, tylko siła jego własnej woli, która ocknęła się już na krańcu omdlenia. Dodajmy tu że ten wysiłek woli Daniela, który zapewne wiele kosztować go musiał, tem cenniejszy jest, o ile bezinteresowny; nie wiedział bowiem dotąd młodzieniec czy mu się to zaparcie opłaci: nie mu jeszcze nie powiada, czy ono stanie się wonną ofiarą dla serca Heli, czy też faktem dla niej obojętnym. Otóż, motyw taki, jak spełnienie pewnego czynu dla samej jego powagi, zwycięstwo nad sobą samym dla własnego przekonania, bez oglądania się na zysk lub stratę, jest wcale pięknym motywem, chociaż zasługa jego nie przez każdego dostrzeżoną to być może: autor, jakby umyślnie, dla uniknięcia wyraźnej barwy tendencyjności, mało na ten fakt położył nacisku.

Nie obeszło się jednak bez zysku dla bohatera. Hela, dostatecznie podkształcona, powróciła na wieś, dokąd, rozumie się, niebawem za nią pociągnął i Daniel. Położenie, dotąd bez wyjścia, zmierzsa nareszcie ku wyjściu, a to dzięki przenikliwości rodziców, którzy w córce dostrzegli przestraszających oznak. Już Jędrzej, ażeby wstrzymać kręty pochód takiej kolidy, wybrał dla Heli męża sfery odpowiedniej; dziewczyna schyliła się przed rozkazem ojca z boleścią utajoną. Utajoną, ale nie dla takiego kochanka, jakim był Daniel. Odgadł on ją i tę jej boleść własnem wytłumaczył szczęściem, którego urzeczywistnienie było już tylko następstwem zwyczajnego taktu. Zaszczynie więc wszyscy wyszli ze swych stanowisk, a nie najmniej rodzice Heli. Nawet zblakana Amelia, skutkiem zapewne doznanego zawodu, który taki zaszczyt przynosi charakterowi Daniela, a może i skutkiem doznanego w separacji z mężem osamotnienia i ubóstwa, dała się nakłonić do powrotu w dom Karola, gdzie ją oczekiwały najdelikatniejsze dowody niewygasłego uczucia.

Romans ten, któremu nikt nie może ująć zalet pomysłu, odznacza się i formą, że tak powiemy, schludną; co przy dzisiejszym nachyleniu ku barwom jaskrawym aż do cynizmu niszczącego smak i pojęcie piękna, za pewną zasługę poczytujemy autorowi. Bo dla czegożby on nie miał, przy tak dobrej sposobności jaka mu się tu przedstawiała, pozwolić sobie tego czego pozwalają sobie inni, do tego stopnia że gdy im zbraknie brutalnych poduszczeń w produkcji własnej, to je wynajdą gdzieindziej, z czułą troskliwością przesadzając ją to do książek, to na sceny, i nie pamiętając na to że społeczność dziś niedość baczną na swe własne dobro, chętna nawet ponie-

kąd dzielić te bachanalie sztuki, kiedyś z pogardą wspominać jej dostawców będzie, tak jak pijak doprowadzony do nędzy i zbydlenia; z rozkoszą dusi dawnego pomocnika swego nałogu.

Forma jednak tego romansu, obok czystości swej oraz logicznego przeprowadzenia treści wobec dosyć skomplikowanych warunków psychicznych i socjalnych, nie domierza wszystkim doskonałości warunkom, a przedewszystkiem brak jej tak poszukiwanego przez artystów wykończenia. Jeżeli naprzykład, malarz wprowadza na swe płótno pewną grupę osób, bardzo mu chodząc powinno o zachowanie należytego stosunku pomiędzy znaczeniem ich treściowem a wydatnością plastyczną: stąd jedne postacie wykończają się ze wszystkimi doskonałościami, jako główne i ustawiają na właściwym miejscu; inne szkicują się lub natracają tylko, tak ażeby nie zasłaniały tego co jest na widoku głównym, odrazu tłumaczyły swoje role i ażeby tym sposobem wyniknęła dobra harmonia umysłowej treści z jej obrazem uwidomionym. Nie idzie wszakże za tem, ażeby to nawet co tylko potrącanem bywa, miało być błędem i bezdusznem.

Owoż tu, ta proporcja między grupą figur drugo i pierwszorzędnych, jest dostatecznie zachowaną, i figury drugorzędne między sobą mają dostateczne życie jak na swoje znaczenie: ale proporcja ta chybła w figurach głównych. Sam bohater, dzięki może przyjętej przezeń inicjatywie listowego samoopowiadania, któremu towarzyszy spora uwaga i wycieczek w stronę ogólnej refleksji, przedstawia się dosyć wyraźnie; ale za to bohaterka nie dzieli z nim tego tryumfu sztuki. Jeżeli zachwyciła bohatera, toć powinna zachwycić i czytelnika, dosadnym obrazem tych zalet, jakie jej przypisuje autor; ona tymczasem, zaledwie tylko interesuje. Prawda, że uwidatnienie plastyczne wdzięków i porywów naiwności, tak rzadko napotykaney w życiu a wzbudzającej jakieś uszczęśliwiające wrażenie, niezmiernie trudnem jest do osiągnięcia w sztuce, wrażenia te reprodukuje; ale trudności nie tłumaczą tego, kto wkracza w krainę mistrzostwa.

Jasniej już, śmiej i wyraźniej tłumaczy się ze swego charakteru Amelia, bo też i charakter to nierównie dostępniejszy.

W ogóle jednak istotna wartość utworu, zdaniem naszym, przeważa nad jego ujemnościami. Styl jego szlachetny, tu i owdzie nakrapiany sarkazmem, widoki wyższe a pocziwe, przywiązują do książki: tylko styl ten, przy takich zwłaszcza widokach, potrzebuje zdobyć się na szersze i wydatniejsze obrazy imaginacji. A że autor, o ile nam się zdaje, jest pisarzem początkującym, a więc nieposiadającym wprawę w tak wysokim zawodzie, jakim jest powieść społeczna z jego własnego stanowiska uważana; gdy obok tego prawdopodobnie nie jest tyle zarozumiałym iżby sądził że już posiadał wszystkie doskonałości mistrzów, przeto radzimy mu ażeby tym obrazem imaginacyjnym, o których wspominamy, tym wypukłorzębom i harmoniom, dobrze się przyjrzał w angielskiej powieści społecznej. Umie on wcale poważnie i trafnie spoglądać w życie, co jest rzeczą dla myśliciela główną; daleko mu więc łatwiejszym będzie względ na formę ze stanowiska artysty, na które prowadzi go niezaprzeczona zdolność.

Kazimierz Kaszewski.

TRZY DNI W PUSTYNI

(Ułamek z wędrówek po Azji).

(Dokończenie).

Rozstanie się me z Sambarem i innymi pocziwymi lamami było serdeczne, ale i smutne zarazem. Wiedziałem, że już nigdy zapewne nie ujrzę ścian ich przybytku, nie spotkam się z tą dobroduszną gościnnością pełną prostoty i dziecięcej niekiedy naiwności.... Rzucałem poraz ostatni okiem na ciche fa-

le Agi, gdzie zdała od świata, zapatrzone na szczytne obrazy przyrody, człowiek staje się lepszym, bardziej miłym swych braci, podziwiającym dzieła Stwórcy i zbliżającym się niejako ku niemu, bo zrywa ze wszystkim co jest ziemskie, maluczkie, szarżane życiem, skalane namietnością... Prawie cały zastęp kapłanów Buddy wysypał się tłumnie i gwarne do bram lamaseryi, kiedy dosiedliśmy wierzchołów... Błogosławiono, szeptano tybeckie zaklęcia, sprowadzające pomyślność, życzoano szczęśliwej drogi, prędkiego ujrzenia rodzinnych dolin, zaczerpnięcia pełną piersią powietrza pól ojczystych.

Dziękowałem za dobre słowo ze łzami, z piersią wezbraną dziwnym uczuciem smutku...

Jeszcze chwila a byliśmy już daleko od dassanu. Gwar mongolskiej mowy, okrzyki pożegnania, stawały się coraz to cichszym szmerem — wreszcie umilkły. Oglądałem się raz i drugi, dach świątyni szarzeje we mgle, ale i on znika, jak znika i mija wszystko na ziemi...

Konie szły rąco; wracały do znanych dolin, do pastwisk obfitych śpieszno im było, a wypoczęły przytem i wypasły się wcale nieźle pod czujnym okiem lamajskiej czeladzi. Nie opatrzyłem się więc jak przebiegliśmy kilka dolin i wkroczyliśmy do miejscowości, gdzie często się spotykają koczowiska krajowców. Gdy mijaliśmy jeden z taborów oblił się o me ucho dźwięk rodzinnej mowy. Mniemałem chwilę, że to złudzenie. Wstrzymałem konie.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki...

Przedemną stał człowieczek malutki, szczupły, siwy niby gołąb, z dziwnym boleści wyrazem, przykuty do ust, co siliły się na uśmiech, a prawdziwie gołębią łagodnością rozlaną na twarzy. Postawa pomimo wieku wyprostowana, z głową śmiało patrzącą w górę, acz w oczach już zaledwie tliły ostatnie płomyki wzroku, miała w sobie coś żołnierskiego. Suknia przypominająca płaszcz wojskowy i czapka z szarego sukna, uszyta na wzór kasków, używanych w armii księstwa Warszawskiego, uzupełniały żołnierskie znamiona staruszka. Z laseczką, wystruganą z nespłiku, szedł on boczną ścieżką, dążąc widocznie ku okolicy, z której wracałem. Przed nim i za nim nie i nikogo nie było widać. Starzec posuwał się krokami powolnym, torując sobie drogę białą, cieniutką laseczką. Wzrok mu już widocznie nie służył.

Był to snąć spacer długi, bo wiedziałem, że na paręset kilometrów w około nie słyszano nawet o podobnym staruszku. Patrząc nań widziałem typ weterana legionisty, typ dziś rzadki, prawie zupełnie ztracony. Starzec nie miał z sobą żadnego pakunku, zedł pieszko, pomału, wspierając się na kij, niby św spracowany ziemianin pól naszych, który korzystając z pogodnej chwili dnia wiosennego, wyszedł obejrzeć zagony, od lat wielu jego lemieszem uprawiane, zroszone potem pracy rolnika.

Patrzałem — i długo nie wierzyłem, czy widzę we śnie czy na jawie to dziwne zjawisko, zjawisko nasze, swojskie, nader wymownie przemawiające do wyobraźni, przenoszące o mil tysiące do dalekich okolic ziemi naszej.

— Dziwisz się asan dobrodziej — rzekł starzec, kiedy rozgadawszy się zsiadliśmy z koni i ulokowali się na łące — dziwisz się, iż mię tu spotykasz... Boże, mój Boże, i gdzież nas niema... Wszak i ten, co mię uczył musztry w szkole wojskowej w Kaliszu, roku pańskiego 1809, był jednym z niedobitków z San Domingo; tu przyszedłszy spotkałem jeszcze barskie niedobitki; — stare, sterane, ledwo suwające nogami, blizkie mogiły, jak ja dziś, wszakże jeszcze istniały... Oni przeszli i spoczęli na tutejszych dolinach... Po nich my i młodszy od nas stąpali po tej ziemi, ja już acanie dobrodziej pól wieku prawie tu męcę się w onym ziemskim czys-

cu... Wkrótce i ja memi kośćmi dorzucę garść prochu do ogólnego mogilnika.

— Zkąd jesteś, nazwisko wasze? pytałem zgrzybiałego weterana, chcąc jego myśl oderwać od mogilnych obrazów smutnego jutra, które snąć lubił, bo często ku nim się zwracał.

— Nazywam się Erlucki... urodziłem się na Podolu, nad Dniestrem, blisko Minkowiec-Marchockiego... Czy znasz Marchockiego?... Tam mój ojciec blisko mieszka, jeśli jeszcze żyje, a zapewne żyć musi, więc już ma sto czterdzieści lat... Codzień Boga proszę, by mi nie dał tak długich lat życia. Już i ten żywot, który przebrnąłem, ciężki dla mnie, a cóżby było, gdybym dożył lat ojca mego?..

Smutnie popatrzałem na starca. Półwieku niedoli mienił on dniem jednym; doba pierwszych lat bieżącego stulecia, ludzie epoki stanisławowskiej i dni obecne zlewały się w jego umyśle w jedną całość. Było to dla niego wczoraj, którem żył, ku któremu skierowane były wszystkie władze jego zdzienniającej już myśli. Zdawało się mu, że Marchocki, którego widywał obchodzącym święto Cerery, że Napoleon, który pogłaskał go, małego zucha wówczas, na przeglądzie wojsk — to są postacie dni dzisiejszych... Zdawało się mu, iż i zgrzybiały rodzic nie w mogile, ale do dziś mieszka pod słomianą strzechą naddniestrzańskiego dworku i dotąd wygląda powrotu syna, którego przed półwiekiem pożegnał... Nie mógł oswoić się z myślą, iż to już świat znikły oddawna z areny życia, że dzisiejsze społeczeństwo, spotkane teraz przezeń nad Dniestrem, gdyby cud jaki postawił go wśród swoich, byłoby dlań bardziej obcem od gromad autochtonów Dauryi, wśród których przebywał. Nie wyprowadzałem z błędu biednego starca, iż dni dzisiejsze i zmierzch XVIII stulecia są dwoma różnymi obrazami życia, że wróciwszy na kwiecieście wybrzeża czerwonego Dniestru byłby gościem z mogiły, obcym wśród innego świata. Owszem odżywiałem w pamięci wszystko co wiedziałem o podolskich okolicach z epoki przed-kilkudziesięcioletniej, i starając się zastosować do jego pojęć, gwarzyłem z nim długo. Starzec zapominał coraz bardziej o warunkach otaczających, przenosił się myślą do jutrenki swej młodości i zapatrzone okiem ducha w przeszłość, którąśmy oddawna przejechali, pod magiczną siłą wspomnień niejako odżył, odmłodził na chwilę...

Wesoło spoglądał staruszek, kiedy opowiadał powszechnie u nas w kraju znane dziwactwa Marchockiego, kilkakroć, poczynawszy od pani Kl. z T. Hofmanowej podawane drukiem pamięci potomnych; twarz jego była pełna spokoju i słończy kiedy snuł nie późniejszych wspomnień swego długiego życia; ale gdy potrafił o ostatnie dziesiątki lat, uśmiech boleści znowu zawitał na obliczu starca.

... Źródłem mej niedoli, asanie dobrodziej, jest błąd wielki, błąd życia, popełniony w chwili szafu, bezzeznawczo... Połączyłem losy me tu, przed czterdziestu laty, z losami kobiety tutejszego pochodzenia... I odtąd zgotowałem, asanie dobrodziej, piekło sobie na ziemi... Myślał człowiek, że dom, rodzina, dziatwa, umiła mu dni smutnego życia... stało się inaczej...

Syn nie jest dla mnie synem, ani córka córką; węzły rodzinne nie są w poważaniu u plemienia tego, i pod mą strzechą zatem zamieszkało błogosławieństwo piekieł, lecz nie anioł pokoju, nie anioł miłości rodzinnej, jak to u nas ma miejsce...

Starzec zalał się łzami. Nie próbowałem go pocieszać, bo są bliźni duszy gdzie każda pociecha jest tylko spotęgowaniem bólu.

Napróżno starałem się nawiązać przerwana nie rozmowy, skierować ją ku dawno pogrzebanej przeszłości, napróżno budziłem w jego myśli obrazy dni ubiegłych, potraçałem o miłe mu wspomnienia doby wczorajszej. Nic rozmowy raz przerwana nawiązać się nie dawała, raz stanąwszy na pochyłości remini-

scency doby obecnej nieustannie wirowała w tej sferze bardzo dlań przykrej.

Starzec przerwał sam wreszcie milczenie.

— Komu w drogę, temu czas... mówił łyż ściera-
jąc i powstając z kobierca łąki, okrytej żółtymi jęszcze badyłami przeszłorocznej, zeschłej trawy — komu w drogę, temu czas... jedź asan dobrodziej w swoją drogę, a ja pójdę moją... drogi nasze są różne, jedną tędy iść nie możemy; pamiętaj o przestrodze mojej i ostrzegaj każdego, kto zechce wejść na ścieżkę, którą sobie wydeptałem... jeżeli kto nie uwierzy słowem waszym, przyslijcie go do mnie; niech przypatrzy się nędzy mojej, stosunkowi dzieci i wnuków moich do mnie, niech sam się przypatrzy, niech do tknie się własną dłonią ran duszy zbolęłego starca, który dziś zmuszony patrzeć na szerzane imię pocziwe swych ojców, na zaparcie się tego w dzieciach co ich rodzic ukochał. Oby mój przykład był przestroga dla innych... Do widzenia, mój synu, dodał bardzo wzruszony, głosem w którym słyszałeś echo wielkiej załości — do widzenia... za grobem zobaczymy się...

Maryan Dobiecki.

OD WYDAWCY.

Na tablicy krojów odnoszącej się do Mód kolorowanych, a dołączonej do Nr 1 Bluszczu zaszła pomyłka we wskazaniu numerów rycin, do których opisy się odnoszą.

zamiast num. 933 powinien być num. 935

„ „ 934 „ „ 936

Ryciny zaś oznaczone numerami 932 i 934 dołączone były do Nr 3 Bluszczu, i opisane zostaną oraz objaśnione odpowiedniami krojami na najbliższej tablicy krojów.

Sprostowanie.

W numerze trzecim Bluszczu, w wierszu: *Brylanty* początek strofki ostatniej brzmieć powinien: „Myśl, w formy artystycznej brylanty ujęta.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch* oraz *Kamiennej Woli*.

TREŚĆ: Teatr w Tusculum, (poezya), przez E-ly. — Kobieta jako towarzyska życia mężczyzny, (dokończenie). — Zarnica, (dalszy ciąg), powieść bulgarska społeczna, przez Teod. Tom. Jeża. — Korespondencya zagraniczna. — Przegląd piśmienniczy, przez Kazimierza Kaszewskiego. — Trzy dni w pustyni, (dokończenie).